

BOLESŁAW PRUS

POWRACAJĄCA FALA

Bolesław Prus
Powracająca fala

«Public Domain»

Prus B.

Powracająca fala / B. Prus — «Public Domain»,

Gotlieb Adler jest bardzo bogatym właścicielem fabryki. Jest przy tym bardzo skąpy, odkłada pieniądze z myślą o przyszłości swojego syna, Ferdynanda. Młodzieniec prowadzi hulawczy tryb życia za granicą i zadłuża ojca na ogromne kwoty. Mężczyzna nakazuje mu powrót do kraju, ale długi, które spłaca w imieniu syna, mają duże konsekwencje dla fabryki. Gdy dodatkowo na jej terenie ginie pracownik, obaj Adlerowie muszą się zmierzyć nie tylko z problemami finansowymi, lecz także z fatalną reputacją. Powracająca fala to jedno z najbardziej rozbudowanych i wielowątkowych opowiadań Bolesława Prusa. Dotyczy tematu kapitalistycznego modelu gospodarki i powiązanych problemów, takich jak zaślepienie pieniędzem i wyzysk. Opowiadanie Prusa zostało wydane po raz pierwszy w 1880 roku. Autor mierzy się w nim z problemem sprawiedliwości społecznej i zastanawia się nad tym, czy spirale zła można zatrzymać, czy fala musi zawsze powracać.

© Prus B.

© Public Domain

Содержание

I	5
II	13
Конец ознакомительного фрагмента.	16

Bolesław Prus

Powracająca fala

I

Gdyby zacność pastora Böhme posiadała trzy zwykłe geometryczne wymiary i ciężar odpowiedni do wielkości, wielebny ten mąż apostołskie i cywilne podróże odbywać by musiał towarowym pociągiem. Ale ponieważ zacność jest przymiotem substancji duchowej i posiada tylko jeden wymiar: *czwarty*, który dużo miejsca zajmuje w głowach matematyków, lecz w świecie rzeczywistym nic nie znaczy, więc pastor Böhme bez trudności mógł podróżować bryczuszką zaprzęzoną w jednego konia.

Spasiony i czysto utrzymany koń po gładkiej szosie fabrycznej biegł wolnym truchtem i zdawał się być więcej zajęty odpędzaniem much aniżeli cnotami szczupłej osoby duchownego pasterza. Grube chomąto¹, hołoble², letnia spiekota i drożny pył wydatniejsze zajmowały stanowisko w wyobraźni zwierzęcia aniżeli wielebny Böhme, jego dwa małe faworyciki, jego panamski kapelusz³, jego perkalowy kitel w białe i różowe paski, a nawet lakierowany bicz zatknięty z prawej strony siedzenia. Pastor tylko przez obawę śmieszności nie zostawiał bata w domu, ale go też w drodze nie używał. Co prawda, nie miał go czym używać. Jedną bowiem ręką trzymał lejce, ażeby mu się koń nie potknął, a drugą zlewał zyczliwe i mało skuteczne błogosławieństwa na wszystkich przejezdnych i przechodniów, którzy bez względu na wyznanie uchylali przed „pocziwym Szwabem” głowy i czapki.

Obecnie (jest to dzień czerwcowy, godzina piąta po południu) wielebny miał do spełnienia mniejszą misję religijną, polegającą na tym, ażeby najprzód⁴ – zmartwić bliźniego, a następnie – pocieszyć go, gdy już będzie strapiony. Jechał do swego przyjaciela Gotlieba Adlera, żeby mu donieść, że jego jedyny syn, Ferdynand Adler, narobił długów za granicą. Doniósłszy zaś o tym ojcu, miał go później uspakajać i – wyjednać przebaczenie dla lekkomyślnego młodzieńca.

Gotlieb Adler był właścicielem fabryki bawełnianych tkanin. Szosa, nie wysadzona wprawdzie drzewami, ale starannie utrzymana, łączy fabrykę ze stacją kolei żelaznej. To, co z szosy widać na lewo, za gajem drzew, to nie jest jeszcze fabryka, ale miasteczko. Fabryka leży na prawo od szosy. Spomiędzy klonów, lip i topoli wyglądają czarne i czerwone dachy kilkudziesięciu robotniczych domków, a za nimi – gmach czteropiętrowy, zbudowany w podkowę i otoczony innymi gmachami. To właśnie fabryka. W długich szeregach okien przeziernie się słońce i oblewa je plamami złota. Wysoki, ciemnowiśniowy komin wyziewa czarne kłęby gęstego dymu.

Gdyby wiatr powiał z tamtej strony, pastor usłyszałby huk machin parowych i chaotyczny szmer tkackich warsztatów. Ale wiatr wieje z innej strony i dlatego słychać tylko świst odległej lokomotywy, turkot bryczki Böhme, parskanie jego konia i śpiew ptaszka – może przepiórki nurzającej się w zielonym zbożu.

Tuż przy fabryce widać większe niż gdzie indziej skupienie drzew. Jest to ogród Adlera, z którego gdzieś tam przegładają białymi płatami – ściany wykwintnego pałacyku i budynków gospodarskich.

¹ *chomąto* – część uprzęży końskiej, obejmująca kark zwierzęcia. [przypis edytorski]

² *hołoble* – dwa dyszle połączone z chomątem. [przypis edytorski]

³ *panamski kapelusz* – kapelusz z liści palmowych popularnie zwany panamą; nazwa przyjęła się w czasie budowy Kanału Panamskiego (1904-1914). [przypis edytorski]

⁴ *najprzód* (przestarz.) – dziś: najpierw. [przypis edytorski]

Ciągle zwracanie uwagi na tłustego konia, ażeby się nie potknął, znużyło wreszcie pastora. Ufając miłosierdziu Tego, który wydobył Daniela⁵ z lwiej jamy, a Jonasza⁶ z wielorybiej paszczy, wielebny przywiązał lejce do poręczy kozła i złożył ręce jak do modlitwy. Böhme lubił marzyć, ale marzył tylko wówczas, gdy mógł puścić w młynka dwa wielkie palce u rąk, co zrobił obecnie. Taki młynek otwierał mu czarodziejskie wrota krainy wspomnień.

I otóż przypomniało mu się (zapewne czterdziesty raz w tym roku i w tym punkcie szosy), że fabryka Adlera i jej otoczenie bardzo przypominają inną fabrykę, gdzieś aż na brandenburskiej równinie stojącą, w której on, pastor Marcin Böhme, i jego przyjaciel, Gotlieb Adler, spędzili razem wiek dziecinny. Byli oni synami średniozamożnych majstrów tkackich, urodzili się w jednym roku i chodzili do tej samej elementarnej szkoły. Potem rozeszli się na całe ćwierć wieku, w ciągu którego Böhme skończył wydział teologiczny w Tybindze, a Adler zebrał kilkadziesiąt tysięcy talarów.

Potem znowu zeszedli się z daleka od ojczyzny, na ziemi polskiej, gdzie Böhme został pasterzem protestanckiej parafii, Adler zaś założył małą fabrykę tkacką.

Od tej pory przez drugie ćwierć wieku nie rozłączyli się i odwiedzali wzajemnie po kilka razy na tydzień. Przez ten czas mała fabryka Adlera stała się ogromna; obecnie zajmowała sześciuset robotników, a właścicielowi przynosiła po kilkadziesiąt tysięcy rubli czystego zysku na rok. Ale Böhme został tym, czym był: niebogaty pastorem. Tylko ponieważ skarby duszy ludzkiej zawsze procentować muszą, więc i pastor miał dochody wynoszące rocznie kilkadziesiąt tysięcy – błogosławieństw.

Były jeszcze między dwoma przyjaciółmi i inne różnice.

Pastor miał syna, który kończył obecnie technikę ryską⁷ i marzył o zapewnieniu sobie, obojgu rodzicom i siostrze – chleba na dalszy bieg życia; Adler zaś miał syna jedynaka, który nie ukończył gimnazjum, podróżował za granicą i marzył o jak najobfitszym korzystaniu z ojcowskiej kasy. Pastor frasował się tym: czy jego osiemnastoletnia Anneta dobrze wyjdzie za mąż? Adler frasował się tym: co ostatecznie będzie z jego syna? Pastor był w ogóle zadowolony ze swej majątkowej mierności i kilkadziesiąt tysięcy błogosławieństw rocznie; Adlerowi nie wystarczało kilkadziesiąt tysięcy rubli na rok a fundusz złożony w banku zbyt powolnie zbliżał się do upragnionej liczby *milion*a rubli.

Ale Böhme już o tylu szczegółach nie myślał. On był kontent⁸, że widzi dokoła siebie zielone zboże, nad sobą niebios obrzucone białymi i siwymi obłokami i że ogólny wygląd fabryki Adlera przypomina mu miejscowość z dziecinnych lat. Takie same piętrowe domy ustawione w dwa szeregi, takie drzewa, taki zakład fabryczny zbudowany w podkowę, pałacyk właściciela, sadzawka w ogrodzie...

Szkoda, że nie ma tu ochrony dla małych dzieci, szkoły dla większych, domu dla starców, szpitala... Szkoda, że Adler nie pomyślał o tych budynkach, chociaż swoją fabrykę ukształtował na wzór brandenburskiej. A należałoby przynajmniej zbudować szkołę. Boć gdyby nie istniała szkoła *tam*... ani on nie byłby pastorem, ani Adler milionerem!

Wózek zbliżył się do fabryki tak, że hałas jej obudził zadumanego pastora. Gromada dzieci brudnych i w podarte sukienki albo koszule odzianych bawiła się obok gościńca. Za murem otaczającym fabrykę widać było kilka wozów, na których ustawiano paki tkanin. Na lewo w całym wdzięku ukazał się pałacyk Adlera zbudowany w stylu włoskim. Jeszcze kilkanaście kroków i otóż wychyla się spomiędzy drzew stojąca nad sadzawką altana, kędy fabrykant i jego przyjaciel piją zwykle reńskie wino gawędząc o dawnych czasach albo o wiadomościach bieżących.

⁵ *Daniel* – starotestamentowy prorok; uprowadzony do Babilonu, nie dał się nakłonić do porzucenia swej wiary i został za karę wtrącony do jaskini lwa, skąd cudem wybawił go Bóg. [przypis edytorski]

⁶ *Jonasz* – starotestamentowy prorok; kiedy pragnął uniknąć nakazanej mu przez Boga misji w Niniwie, okręt, na którym płynął, uległ katastrofie, a sam Jonasz został połknięty przez ogromną rybę (wieloryba). Ocalony podporządkował się woli Jahwe. [przypis edytorski]

⁷ *technika ryska* – chodzi o studia politechniki w Rydze. [przypis edytorski]

⁸ *kontent* (z fr.) – zadowolony. [przypis edytorski]

Gdzieniedzie z otwartych okien mieszkań robotniczych zwieszają się szmaty świeżo upranej bielizny. Prawie cała ludność tych mieszkań jest obecnie przy warsztatach i ledwie kilka bladych kobiet z zapadłymi piersiami wita pastora słowy:

– Niech będzie pochwalony!...

– Na wieki wieków!... – odpowiada szczupły staruszek, uchylając swój wieloletni panamski kapelusz.

W tej chwili bryczka skręciła na lewo, koń wesoło wyrzucił łbem i już kłusem, niekierowany wbiegł na dziedziniec pałacyku. Wnet ukazał się stajenny chłopiec, obtarł nos rękawem i pomógł wsiąść wielebnemu.

– Pan w domu? – spytał Böhme.

– Na fabryce⁹. Zaraz powiem, że jegomość przyjechał.

Pastor wszedł na ganek, gdzie oczekujący lokaj zdjął z niego podróżny kitel. Teraz cały świat mógł przekonać się, że duchowny ma długi surdut, ale krótkie nogi, wobec których jego nos, ozdabiający zwiędłe i pełne dobroci oblicze, wydaje się nieco za duży.

Wielebny znowu ułożył ręce na piersiowym dołku i puścił w ruch dwa palce. Przypomniawszy sobie, że przyjechał tu celem zranienia, a następnie zagojenia ojcowskiego serca i z planem dobrze obmyślanym, który wedle prawideł retoryki¹⁰ dzielił się na trzy części. Pierwsza, przygotowawcza, miała obejmować rzut oka na niezbadane wyroki Opatrzności, która przez ciernie żywota wiedzie istotę ludzką do wiekuistego szczęścia. W drugiej miało być powiedziane, że młody Ferdynand Adler nie może wrócić z zagranicy na łono ojca, dopóki nie zostaną zaspokojeni jego wierzyciele na sumę taką a taką. (Tu powinien nastąpić wybuch ojcowskiego gniewu i wyliczenie przez starego Adlera wszystkich błędów, jakich się syn dopuścił.) W chwili przecież, gdy zagniewany fabrykant bawełnianych tkanin zapragnąłby wyrodnego jedynaka wyprzeć się, wydziedziczyć i wykląć, wyszłaby na jaw trzecia część misji pastora, pojednawcza. Böhme chciał przypomnieć historię marnotrawnego syna, z lekka nadmieniwszy, że przyjaciel źle wychował potomka i że za ten grzech powinien bez szemrania ofiarować Bogu, rozumie się na ręce wierzycieli Ferdynanda, wymaganą przez nich sumę.

Gdy Böhme przepowiadał sobie plan działania, na drodze do pałacyku wiodącej ukazał się stary Adler. Był to człowiek olbrzymiego wzrostu, nieco zgięty, niezgrabny, z wielkimi nogami, odziany w długi, popielaty surdut niemodnego kroju i takież spodnie. Na jednostajnie czerwonej twarzy jego uwydatniał się duży, okrągły nos i nie mniejsze wargi wywinęte jak u Murzyna. Wąsów nie nosił, tylko rzadkie jasnoblonde faworyty. Gdy zdjął kapelusz, aby obetrzeć pot z czoła, widać było wypukłe, jasnoniebieskie oczy bez brwi i krótko ostrzyżone włosy koloru lnianego.

Milioner szedł krokiem ciężkim, miarowym, chwiejąc się na potężnych nogach jak kawalerzysta. Gdy nie obcierał spoconej twarzy albo czerwonej szyi, zwieszane ręce z wielkimi dłońmi i krótkimi palcami odstawały mu od tułowia tworząc dwa zgięte łuki niby żebra przedpotopowego zwierzęcia. Szeroka pierś widocznie wznosiła się i opadała dysząc jak kowalski miech. Z daleka witał pastora flegmatycznymi ruchami głowy; otworzył przy tym szeroko usta i grubym głosem wołał: „Ha, ha, ha!” – ale nie uśmiechnął się. W ogóle trudno nawet zgadnąć, jak by wyglądał uśmiech na tej mięsistej i apatycznej twarzy, na której wszechwładnie zdawały się panować surowość i bezmyślność.

Z tym wszystkim ta grubo przez naturę wyciosana osoba nie była wstrętna, ale raczej dziwna. Nie budził on obawy, tylko uczucie, że mu się niepodobna oprzeć. Zdawało się, że w jego nieforemnych rękach żelazne sztaby powinny by giąć się z takim smutnym skrzypieniem, jak podłoga sal fabrycznych gięła się pod jego stopami. Na pierwszy rzut oka widać było, że do serca tego taranu

⁹ *Na fabryce* – właściwie: na terenie fabryki. [przypis edytorski]

¹⁰ *retoryka* – sztuka przemawiania i przekonywania. [przypis edytorski]

o ludzkiej formie dopukać się niepodobna, ale że gdyby kto zranił mu serce, cała machina runęłaby jak gmach, któremu nagle zabrakło podstawy.

– No! jak się ty masz, Marcinie! – zawołał Adler z najniższego stopnia schodów, chwytając za rękę pastora, którą potrząsnął mocno i niezgrabnie. – Prawda! – dodał – ty ale byłeś¹¹ wczoraj w Warszawie... Czy nie słyszałeś czego o moim chłopcu? Ten wariat tak rzadko pisuje, że chyba tylko bank wie, gdzie on się obraca!...

Gdy stanął na ganku, wąty Böhme wyglądał przy nim jak – wedle słów Biblii – szarańcza przy wielbłądzie.

– No, ale gadaj co!... – powtórzył Adler siadając na żelaznej kanapce, która zatrzeszczała. Tubalny głos jego dziwnie harmonizował z rytmicznym łoskotem fabryki przypominającym odległe grzmoty.

– Czy mój Ferdynand nie pisał do banku?

Böhme mimowolnie znalazł się w środku kwestii, z którą tu przyjechał. Siadł na drugiej kanapce naprzeciw Adlera. Z zastanawiającą przytomnością umysłu przypomniał sobie początek pierwszej części mowy: o niezbadanych wyrokach...

Pastor miał jedną wadę. Oto – nie umiał płynnie mówić bez okularów, które zawsze w niewłaściwe miejsce chował. Czuł, że wypada zacząć wstęp, ale jakże zacząć bez okularów?... Odchrząknął, powstał z kanapy, zakreślił się wkoło... Nie ma okularów!

Sięgnął ręką do lewej kieszeni spodni, potem do prawej... Okularów ani śladu!... Czy by je zostawił w domu?... Gdzież znowu! Miał je przecie w rękach siadając na bryczkę... Sięgnął do jednej tylnej kieszeni surduta: nie ma... do drugiej – znowu nie ma! Biedny pastor całkiem zapomniał początkowych zdań części przygotowawczej.

Adler, który znał przyjaciela na wyrywki, zaniepokoił się.

– Czego ty się tak, Marcinie, ale kręcisz?... – spytał go.

– Ech, mam kłopot... Gdzieś zostawiłem okulary...

– Na co tobie okulary? Kazania przecie nie będziesz do mnie mówił.

– Ale, bo widzisz...

– No, ja ale pytam się o Ferdynanda, czy nie ma od niego wiadomości?...

– Zaraz ci powiem!... – mówił Böhme krzywiąc się.

Sięgnął do bocznej kieszeni i nie znalazł okularów. Odpiął surdut i z kieszeni wewnętrznej dobył jakiś papier, wielki pugilares¹², wreszcie wywrócił kieszeń, ale i tu okularów nie było.

„Czybym zostawił w bryczce?” – rzekł do siebie i zwrócił się chcąc zejść z ganku.

Adler, który wiedział, że pastor w wewnętrznej kieszeni nosi tylko ważne dokumenty, wyrwał mu papier z ręki.

– Mój ty Gotliebie – mówił skłopotany Böhme – oddajże mi to, ja ci sam przeczytam, tylko... muszę pierw znaleźć moje okulary... Gdzie one się podziać mogły?

Zbiegł na dziedziniec, kierując się ku stajni.

– Proszę cię, zaczekaj, aż ja wrócę, bo to trzeba przede wszystkim wyjaśnić...

I poszedł trąc obiema rękami szpakowatą głowę.

W kilka minut później wrócił ze stajni zupełnie zgnębiony.

– Musiałem zgubić okulary – mruzczał. – Pamiętam, że kiedyś siadł na bryczkę, miałem w jednej ręce chustkę, a w drugiej bat i okulary...

Rzucił się z niechęcią na kanapę i przelotnie spojrzął na Adlera.

Staremu fabrykantowi żyły nabrzmiały na czole, a oczy stały się wypuklejsze niż zwykle. Czytał on papier z wielkim zajęciem, wreszcie skończył czytanie i z gniewu – plunął na ganek.

¹¹ *ty ale byłeś* – niemiecki szyk wyrazów, po polsku niepoprawny. [przypis edytorski]

¹² *pugilares* (daw.) – portfel na pieniądze i dokumenty. [przypis edytorski]

– Och! Jaki to szelma ten Ferdynand! – mruknął. – W ciągu dwu lat zrobił pięćdziesiąt osiem tysięcy trzydzieści jeden rubli długów, chociaż ja dawałem mu dziesięć tysięcy rubli rocznie!

– A wiem! – zawołał nagle pastor i wbiegł do przedpokoju.

Po chwili wrócił z triumfującą miną, niosąc swoje okulary w czarnej pochwie.

– Naturalnie – mówił Böhme – że nie mogłem ich włożyć gdzie indziej, tylko w kitel. Co za roztargnienie!

– Ty zawsze gubisz swoje okulary i potem je znajdujesz! – rzekł Adler oparłszy głowę na rękę. Wydawał się zamyślony i smutny.

– Pięćdziesiąt osiem i dwadzieścia: siedemdziesiąt osiem tysięcy trzydzieści jeden rubli w ciągu dwu lat! – mruczał fabrykant. – Kiedy to ja wszystko załatam? Dalibóg, nie wiem!

Pastor włożył już okulary i odzyskał właściwą sobie przytomność umysłu. Część pierwsza, przygotowawcza, mowy, z którą do Adlera przyjechał, była stracona. Część druga tak samo. Pozostała część trzecia.

Böhme orientował się w położeniu bardzo szybko i nie mniej szybko czynił postanowienia. Odchrząknął więc, rozkraczył nogi i zaczął:

– Jakkolwiek, miły Gotliebie, ojcowskie serce twoje błędami jedynego syna twojego ciężko musi być zranione; jakkolwiek na los poniekąd sprawiedliwie wyrzekać...

Adler ocknął się z zamyślenia i odparł spokojnie:

– Gorzej niż wyrzekać, bo trzeba ale płacić!... Johann! – krzyknął nagle głosem, od którego daszek ganku drgnął.

Służący ukazał się we drzwiach prowadzących do przedpokoju.

– Szklanę wody!

W okamgnieniu podano wodę; Adler wypił ją, zażądał drugiej szklanki i tę wypił, a potem mówił już bez cienia gniewu:

– Trzeba telegrafować do Rotszyldów¹³... Jeszcze dziś wyślę depezę i... niech już ten wariat wraca. Dosyć podróży!

Teraz Böhme poznał, że nie tylko trzecia część jego mowy jest bezpowrotnie stracona, ale co gorsza, że ojciec zanadto pobłażliwie traktuje postępek syna. Bądź co bądź, zrobienie pięćdziesięciu ośmiu tysięcy rubli długów stanowi nie tylko stratę, ale i nadużycie rodzicielskiego zaufania, a więc niemały grzech. Kto wie, czy Adler, mając te pieniądze w kieszeni, nie pomyślałby o założeniu szkoły, bez której dzieci fabrycznych robotników dziczeją i uczą się próżniactwa.

Z tych powodów pastor postanowił z obrońcy stać się – oskarzycielem lekkomyślnego młokosa, co mu tym łatwiej mogło się udać, że znał go jako urwisa od niemowlęcia – i że miał okulary na nosie, bez których ciężko mu było czegokolwiek dowodzić.

Adler tymczasem oparł się szerokimi plecami o poręcz ławki, splótł ręce na karku i pochyliwszy w tył ogromną głowę patrzył w sufit daszku.

Böhme odchrząknął, położył dłonie na kolanach i patrząc na krawat swego przyjaciela mówił:

– Jakkolwiek, miły Gotliebie, budujące jest twoje chrześcijańskie poddanie się nieszczęściu, z tym wszystkim człowiek dla osiągnięcia zupełnej doskonałości na tym świecie możliwej (a jest ona, ach! bardzo niedoskonała wobec Stwórcy), człowiek tedy nie tylko musi być zrezygnowany, ale i działający. Pan nasz, Jezus Chrystus, nie tylko poświęcił się na śmierć, ale jeszcze nauczał, poprawiał. Więc i my, sługi jego, winniśmy nie tylko znosić cierpienia, ale jeszcze poprawiać błądzących...

Adler oparł ręce na kanapie i spuścił głowę na piersi.

– Syn twój cielesny, a mój duchowy, Ferdynand, pomimo wielu zalet serca i przyrodzonych zdolności, wcale nie pełni przykazania, które człowiekowi z raju wygnanemu zaleciło pracę.

– Johann! – krzyknął Adler. Służący wbiegł na ganek.

¹³ Rotszyldowie – rodzina bankierów i finansistów, jedna z najbogatszych w XIXw. [przypis redakcyjny]

– Tam maszyna idzie za prędko! Oni tak zawsze robią, jak mnie nie widzą. Kazać, żeby wolniej szła!

Służący znikł; pastor niezrażony mówił dalej:

– Syn twój nie pracuje, ale dane mu przez Stwórcę siły duchowe, fizyczne i pieniężne trwoni marnie. Mówiłem ci to już, miły Gotliebie, nieraz, a wychowaniem mego Józefa nie zaprzeczyłem własnym zasadom.

Adler posepnie rzucił głową.

– Co twój Józef będzie robił, gdy skończy technikę? – spytał nagle.

– Pójdzie do jakiej fabryki i może kiedy zostanie dyrektorem.

– A gdy zostanie dyrektorem, to co?

– Będzie dalej pracował.

– Na co ale on będzie pracował?

Pastor zmieszał się.

– Na to – odparł – żeby być użytecznym sobie i ludziom.

– No, a mój Ferdynand, jak tylko wróci, może u mnie zostać dyrektorem. No, on już dziś ludziom jest użyteczny, jeżeli siedemdziesiąt osiem tysięcy trzydzieści jeden rubli wydaje w ciągu dwu lat. A zapewne i sobie jest użyteczny!

– Ale nie pracuje! – zauważył pastor wznosząc palec do góry.

– Prawda! Ale ja pracuję za niego i za siebie. Ja przez całe życie pracowałem za pięciu ludzi, więc dlaczego mój jedyny syn nie ma użyć trochę świata za młodu? – Czego teraz nie użyje – dodał – później nie użyje... Wiem to z doświadczenia! – Praca jest przekleństwem. Ja całe to przekleństwo wzięłem na siebie, a że dobrze wzięłem, świadczy mój majątek. Jeżeli prawda, że Ferdynand powinien by tak męczyć się jak ja, to na co mi Pan Bóg dał pieniądze? Co chłopcu po tym, że z mego miliona zrobi dziesięć, jeżeli znowu jego syn ma żyć na to tylko, żeby do naszych dorobił – drugie dziesięć milionów? – Pan Bóg stworzył tak samo bogatych jak i ubogich. Wszyscy bogaci używają życia. Ja go już chyba nie użyję, bo nie mam sił i nie nauczyłem się tego. Ale dlaczego mój syn nie ma używać?

Służący wrócił już z fabryki. Maszyna parowa szła wolniej.

– Miły Gotliebie – rzekł pastor – dobry chrześcijanin...

– Johann! – przerwał mu fabrykant. – Wynieś do altanki butelkę reńskiego i piernik...

Chodźmy do ogrodu, Marcinie!

Poklepał Böhme ciężką ręką po ramieniu i zawołał:

– Ha, ha, ha!

Szli do ogrodu. W drodze zastąpiła im jakaś nędzna kobiecina i upadając do nóg Adlerowi szepnęła z płaczem:

– Jaśnie panie! Choć trzy ruble na pogrzeb.

Adler bez trudności wyrwał jej nogę z objęć i odparł spokojnie:

– Idź do szynkarza, bo tam twój głupi mąż co dzień zostawiał pieniądze.

– Jaśnie panie!

– W kantorze załatwia się interesy, nie tutaj – przerwał Adler – tam pójdz.

– Byłam, panie, ale mnie za drzwi wyrzucili.

I znowu objęła go za nogi.

– Precz! – krzyknął fabrykant. – Do warsztatów was nie ma, a na chrzty i pogrzeby umiecie zebrać!

– Po słabości byłam, panie; jakże mogłam iść na robotę?

– No, to niech ci się ale dzieci nie zachiewa, kiedy im nie masz za co sprawić pogrzebu.

I poszedł do ogrodu pchając przed sobą oburzonego tą sceną pastora.

Za furtką Böhme zatrzymał się.

– Wiesz, Gotliebie – rzekł – ja nie będę pił.

– O? – zdziwił się Adler. – Dlaczego tak?

– Łzy biednych psują smak wina.

– Nie bój się! Kieliszki są czyste, a butelki dobrze zakorkowane. Ha, ha, ha!

Pastor zaczerwienił się, odwrócił się od niego z gniewem i szybko wybiegł na dziedziniec.

– Stój, ty wariacie! – krzyknął Adler.

Pastor biegł ku stajni.

– Wróćże się!... Hej, ty głupia! – zawołał na nędzną kobietę, która płakała w bramie – masz rubla i wynoś się stąd, pókiś cała!

Rzucił jej papierek.

– Marcin! Böhme! Wróć się. Już wino jest w altance.

Ale pastor siadł na swój wózek i bez kitla wyjechał za bramę.

„Wariat!” – mówił do siebie Adler.

Zresztą nie gniewał się na pastora, który po kilkanaście razy na rok robił mu podobne sceny w podobnych okolicznościach.

„Tym uczonym zawsze jakiegoś trybu w głowie brakuje – myślał Adler patrząc na pył wzniecony bryczką przyjaciela. – Gdybym ja był uczonym, miałbym dziś tyle co Böhme, a Ferdynand męczyłby się w szkole technicznej. Jakie szczęście, że i on nie jest uczony!”

Obrócił się dokoła, spojrzął na stajnię, przed którą parobek udawał, że pilnie bruk zamiata, wciągnął w nos trochę fabrycznego dymu, który mu wiatr przyniósł, popatrzył na ładowne wozy i poszedł do budynku administracji.

Tam kazał odpisać w księdze pięćdziesiąt dziewięć tysięcy rubli dla Ferdynanda i wysłać do niego telegram, ażeby skoro tylko odbierze pieniądze, spłacił dług i natychmiast wracał do domu.

Gdy Adler wyszedł z kancelarii, stary buchalter, Niemiec, który od kilku lat nosił umbrelkę¹⁴, a od kilkunastu siadywał na skórzanym krążku, obejrzał się podejrzliwie i szepnął do innego urzędnika:

– Oho! Będziemy znowu mieli *oszczędności*! Młody stracił pięćdziesiąt dziewięć tysięcy rubli, a my zapłacimy...

W kwadrans później w biurze technicznym szeptano, że Adler *obetnie* pensje, bo syn jego stracił sto tysięcy.

W godzinę we wszystkich oddziałach fabryki o tym tylko mówiono, że mają zniżyć pensje i zarobki, a wieczorem – Adler wiedział, co mówiono. Jeden groził, że połamie kości pryncypałowi, drugi, że go zabije, trzeci, że spali fabrykę. Niektórzy radzili wyjść tłumem z warsztatów, ale tych zakrzyczano. Bo i dokąd wyjść?

Większość kobiet płakała, a większość mężczyzn przeklinała Adlera życząc mu, żeby go Bóg skarał.

Fabrykant był zadowolony z raportu. Ponieważ robotnicy tylko przeklinali, więc znaczy, że można bez obawy zniżyć zarobki. Ci zaś, którzy grozili, ci w części byli najwierniejszymi jego sługami.

W ciągu nocy plan *oszczędności* był przygotowany. Im kto więcej zarabiał, tym większy procent strącano mu z wynagrodzenia. Ponieważ zaś przy fabryce od paru lat mieszkał doktor (sprowadzony tu w czasie cholery) i felczer¹⁵, którzy, według Adlera, nie mieli dziś nic do roboty, doktor więc z końcem miesiąca czerwca otrzymał dymisję, a felczerowi zniżono pensję do połowy.

Gdy na drugi dzień dowiedziano się o szczegółach planu *oszczędności*, wybuchło ogólnie wzburzenie. Kilkunastu ludzi wyszło z fabryki, inni robili mniej niż zwykle, ale za to dużo gadali. Doktor zwymyślał Adlera i natychmiast przeniósł się do miasteczka; toż samo zrobił felczer. W południe i nad wieczorem tłum robotników chodził do pałacyku pryncypała z prośbą, ażeby ich nie krzywdził. Płakali przy tym, klęli, grozili, ale Adler pozostał niewzruszony. Straciwszy pięćdziesiąt dziewięć tysięcy rubli przez syna, musiał je odzyskać; *oszczędności* zaś miały mu przynieść piętnaście

¹⁴ *umbrelka* – daszek chroniący przed światłem. [przypis edytorski]

¹⁵ *felczer* – pomocnik lekarza. [przypis edytorski]

do dwudziestu tysięcy rocznie. Postanowienie żadną miarą nie mogło być cofnięte. Zresztą, dlaczego miałyby być cofnięte – co mu groziło?

Rzeczywiście po kilku dniach fabryka uspokoiła się. Niektórzy robotnicy wyszli sami, kilku niespokojniejszych wydalono, a miejsce ich zajęli nowi kandydaci, którym zarobek wydał się bardzo dobry. W owej epoce panowała na wsiach bieda i ludzie natrętnie dopraszali się o robotę.

Miejsce felczera zajął „tymczasowo” stary robotnik, który według opinii Adlera był o tyle obeznany z chirurgią, że jakieś lekkie skaleczenie mógł opatrzyć. W wypadkach cięższych, nader rzadkich, miano posyłać do miasteczka, gdzie również udawać się musieli na własny koszt chorzy robotnicy, ich żony i dzieci.

Było więc w fabryce, pomimo tak wielkiego przewrotu, wszystko dobrze. Najdokładniej zebrane informacje wskazywały Adlerowi, że bez względu na krzywdy, jakie ludziom wyrządził, nie spotka go nic złego, że nie ma siły, która by mu mogła zaszkodzić.

Tylko pastor Böhme, do którego fabrykant pojechał pierwszy na zgodę, kręcił głową i poprawiając okulary mówił:

– Złe wyradza złe, mój miły Gotliebie. Tyś zaniedbał wychowania Ferdynanda, więc zrobiłeś źle. On stracił twoje pieniądze i zrobił gorzej. Teraz znowu ty z jego powodu zniżyłeś ludziom zarobki i zrobiłeś najgorzej. A co z tego jeszcze wyniknie?

– Nic! – mruknął Adler.

– Nie może być nic! – odparł Böhme trzęsąc rękami nad głową. – Najwyższy tak świat urządził, że w nim każda przyczyna musi mieć właściwy skutek: dobra – dobry, zła – zły!

– Przynajmniej nie dla mnie – wtrącił fabrykant. – Bo i cóż mi się stanie? Kapitały leżą w depozycie. Fabryki mi nie spalą, a choćby i spalili, to jest asekurowana. Roboty nie porzucą, bo na ich miejsce znajdę innych, a zresztą – gdzież sami pójdą? Chyba myślisz, że mnie zabiją? Marcinie, czy tak myślisz? Ha, ha, ha! Mnie oni! – mówił olbrzym klaszcząc w potężne dłonie.

– Nie kuś Boga! – przerwał mu surowo pastor i zwrócił rozmowę na inny przedmiot.

II

Historia Adlera jest tak dziwna jak on sam.

Gdy ukończył szkołę elementarną (do której chodził razem z dzisiejszym pastorem Böhme), Adler nauczył się tkactwa i w dwudziestym roku miał niezłe zarobki. Już wówczas był to chłopak czerwonoskóry, silny, na pozór niezgrabny, w istocie sprytny i zręczny, który pracować mógł za kilku. Zwierzchnicy byli z niego zadowoleni, choć miał wadę, że lubił hulać.

Każde święto młody Adler przepędzać musiał w jakimś miejscu zabaw, w towarzystwie kolegów i kobiet, bo miał wiele kochanek. Jeżdżono tam na karuzeli, huściano się, pływano, objadano się i spijano, Adler zaś przodował. Hulał tak namiętnie, bawił się z takim szałem, że niekiedy przestraszał swoich towarzyszy. Ale w dzień powszedni pracował także szalenie.

Był to potężny organizm, w którym grały tylko mięśnie i nerwy, a dusza spała. Adler czytać nie lubił, sztuki nie rozumiał, śpiewać nawet nie umiał. Potrzebował tylko zużywać nagromadzone siły zwierzęce i robił to, nie zachowując żadnych granic ani miary.

Z uczuć ludzkich panowało w nim jedno tylko: zazdrościł bogatym. Słyszał on, że na świecie są wielkie miasta, a w nich piękne kobiety, które można kochać pijąc szampańskie wino wśród salonów błyszczących od złota i kryształów. Słyszał, że bogaci podróżują po górach, na których kark można skręcić albo paść ze znużenia, i – tęsknił do tych gór. Gdyby on był bogaty, zamęczałby wierzchowe konie; kupiłby okręt, ażeby pełnić na nim obowiązki majtka; obszedłby cały świat od równika do biegunów; pędziłby na pola bitew i nurzałby się w krwi ludzkiej, a przy tym wszystkim – piłby i jadł najwykwintniejsze potrawy i woziłby ze sobą cały harem.

Ale gdzie jemu myśleć o bogactwach, kiedy puszczał wszystkie zarobki i jeszcze zaciągał długi!

W owym czasie zdarzył się szczególnie wypadek.

W jednym z budynków fabryki, w której pracował, wybuchł pożar na drugim piętrze. Robotnicy uciekli, ale nie wszyscy: dwie kobiety i chłopiec zostali na czwartym piętrze i dopiero wówczas zobaczono ich, gdy ze wszystkich niższych okien buchały płomienie.

O daniu pomocy nikt nie myślał i może dlatego właściciel fabryki krzyknął do robotników:

– Trzysta talarów temu, kto ich ocali!

Wśród tłumu gwar i ruch spotęgował się. Radzono, zachęcano, ale – nie ratowano ofiar, które wyciągały ręce do stojących na ziemi i rozpaczały z bojaźni.

Wtedy wystąpił Adler. Zażądał długiej liny i drabinki z hakami. Lina przepasał się i podszedł do ognia.

Tłum oniemiał nie rozumiejąc, jakim sposobem Adler wejdzie na czwarte piętro? Na co mu lina?

Ale on miał sposób. Zaczepił drabinę na szerokim gzymsie pierwszego piętra i wbiegł tam jak kot. Stojąc na gzymsie zahaczył drabinę o gzyms drugiego piętra i po chwili był już tam. Płomienie opalały mu włosy i odzież, dym gęsty owijał go jak płachta, ale on drapał się coraz wyżej, zawieszony nad ogniem i nad przepaścią jak pająk.

Gdy dosięgnął czwartego piętra, tłum wykrzyknął: „Hura!” i zaklaskał. Adler zaczepił drabinę na krawędzi dachu i z niepojętą zręcznością, on, chłopak niezgrabny i ciężki, wyniósł po kolei skazańców na dach.

Jedna ściana budynku nie miała okien. Adler tędy spuścił za pomocą liny ocalonych przez siebie, a wreszcie – zlął sam. Gdy stanął na ziemi poparzony, obłany krwią, tłum porwał go na ręce i poniósł krzycząc.

Za ten czyn, prawie bezprzykładny, Adler dostał od rządu złoty medal, a od fabrykanta lepszą posadę i obiecane trzysta talarów.

Teraz w życiu Adlera nastąpił zwrot. Zobaczywszy się panem tak wielkiej sumy ucuł on przywiązanie do pieniędzy. Nie dlatego, że je nabył narażając się na śmierć, nie dlatego, że mu one

przypominały ludzi, którym życie uratował, ale dlatego – że było ich aż trzysta talarów!... Jakby to pohulać można za taką masę pieniędzy... O ile świetniejszą byłaby hulanka za tysiąc talarów i jak to już do tysiąca talarów niedaleko!...

Pieniądz obudził w nim nową namiętność. Adler wyrzekł się swoich nałogów, stał się skąpym i lichwiarzem. Zaczął pożyczać kolegom pieniądze na krótkie terminy, ale na wielkie procenta, a ponieważ obok tego bardzo pracował i szybko postępował naprzód, więc po upływie kilku lat miał już nie trzysta, ale trzy tysiące talarów.

Wszystko to robił z myślą, że gdy zbierze większą sumę, pohula raz jak bogacz. Lecz gdy suma urosła, wyznaczał dla niej nową granicę, do której szedł z taką samą zawziętością jak pierwej. W tym zbliżaniu się do ideału, którym miało być najwyższe użycie, Adler powoli zatracił zmysłowe instynkty. Olbrzymie swoje siły topił w pracy, pozbył się dawnych marzeń i myślał o jednym tylko: o pieniądzu. Przez jakiś czas uważał je tylko za środek, widział poza nimi inny cel. Ale stopniowo i to znikło, a całą duszę jego wypełniły dwa pragnienia: pracy i pieniędzy.

W czterdziestym roku życia miał już pięćdziesiąt tysięcy talarów zebranych krwawym trudem, uporem, niezwykłym sprytem, skąpstwem i lichwą. W tym czasie przeniósł się do Polski, gdzie, jak słyszał, przemysł wielkie daje procenta. Tu założył niedużą fabrykę tkacką, ożenił się z kobietą posażną, która wydawszy na świat jedyne go syna, Ferdynanda, umarła – i począł dążyć do milionowej fortuny.

Nowa ojczyzna okazała się dla Adlera prawdziwą ziemią obiecaną. On, wyćwiczony w zawodzie tkackim i w wyścigu za groszem, znalazł się między ludźmi, z których jedni dawali się wyzyskiwać dlatego, że nie mieli pieniędzy, drudzy dlatego, że im łatwo przyszły i że mieli ich za dużo, inni dlatego, że im brakło sprytu, jeszcze inni dlatego, że wydawało się im, iż mają spryt. Adler gardził społeczeństwem pozbawionym najelementarniejszych przymiotów ekonomicznych i siły do walczenia z nim; lecz poznawszy grunt dokładnie, umiał z niego korzystać. Majątek rósł, a ludzie myśleli, że szczęśliwemu fabrykantowi do jego zarobków doptywają z Niemiec jakieś fundusze.

Wraz z urodzeniem się Ferdynanda w drewnianym sercu Adlera zbudziło się uczucie nieograniczonej miłości ojcowskiej. Osierocone niemowlę nosił on na rękach, często nawet do fabryki, gdzie chłopak przestraszony hałasem siniał z krzyku. Gdy podrośł, ojciec spełniał wszystkie jego życzenia, obsypywał go łakociami, otaczał służbą, dawał mu do zabawy złote pieniądze.

Im więcej rozwijało się dziecko, tym mocniej kochał je. Zabawy Ferdynanda przypominały mu własne dzieciństwo, zbudziły w jego duszy jakieś echa dawnych instynktów i marzeń. I otóż Adler patrząc na syna myślał, że on za niego użyje świata, on prawdziwą korzyść odniesie z bogactw, on spełni wygasłe, a tak niegdyś silne pragnienia owych odległych podróży, kosztownych uczt, niebezpiecznych wypraw...

„Byle podrośł – myślał ojciec – sprzedam fabrykę i pojedę z nim w świat. On będzie hulał, a ja będę patrzył i chronił go od niebezpieczeństw”.

Ponieważ człowiek nie może dać innym więcej nad to, co sam posiada, więc Adler dał synowi żelazną organizację¹⁶, fizyczne zdrowie, egoistyczne popędy, majątek i nieprzeartą skłonność do hulatyki, ale nie rozwinął w nim wyższych instynktów. Ani ojciec, ani syn nie rozumieli przyjemności płynących z badania prawdy, nie odczuwali piękna w naturze ani sztuce, a ludźmi obaj pogardzali. W organizmie społecznym, w którym każdą jednostkę świadomie czy bezświadomie łączą tysiączne węzły sympatii i współczucia, oni dwaj nie byli z niczym związani, zupełnie wolni. Ojciec kochał pieniądze nade wszystko, a syna więcej niż pieniądze; syn – lubił ojca, ale kochał tylko siebie i te przedmioty, które zaspakajały jego pragnienia.

Zresztą chłopiec miał guwernerów¹⁷ i uczęszczał do szkół włącznie do szóstej klasy. Nauczył się kilku języków, tańczyć, gustownie ubierać, elegancko mówić. Był łatwy w obejściu, jeżeli mu

¹⁶ *organizacja* – tu: organizm. [przypis edytorski]

¹⁷ *guwerner* – prywatny nauczyciel. [przypis edytorski]

przeszkód nie stawiano, dowcipny, pieniędzmi hojnie rzucał. Lubiono go więc, chociaż głębiej na rzeczy patrzący Böhme twierdził, że chłopak niewiele umie i jest na złej drodze.

Ferdynand w siedemnastym roku życia był już donżuanem¹⁸, w osiemnastym wydalony został ze szkół, w dziewiętnastym kilka razy zgrał się w karty, a raz wygrał około tysiąca rubli, nareszcie w dwudziestym roku wyjechał za granicę. Tam, oprócz dużej sumy wyznaczonej mu przez ojca, zrobił około sześćdziesięciu tysięcy rubli długów i tym sposobem, co prawda mimo woli, przyczynił się do zaprowadzenia w fabryce *oszczędności*, za które obu ich: ojca i syna, przeklinały setki ludzi.

W ciągu dwuletniej nieobecności w domu Ferdynand zwiedził całą prawie Europę. Wdrapywał się na alpejskie lodniki¹⁹, był na Wezuwiuszu, puszczał się raz balonem, nudził się parę tygodni w Londynie, gdzie domy są z czerwonej cegły, a w niedzielę nie ma zabaw. Ale najdłużej i najweselej przepędził czas w Paryżu.

Do ojca pisywał nieczęsto. Ile razy jednak jakieś silniejsze wrażenie potrafiło jego stalowe nerwy, tyle razy donosił o tym z najdrobniejszymi szczegółami. Toteż listy jego bywały dla Adlera prawdziwymi uroczystościami. Stary fabrykant odczytywał je bez końca, nasycił się każdym wyrazem, bo czuł, że każdy wskrzesza w nim dawne i gorące marzenia.

Jeździć balonem, zaglądać do wulkanu, tańczyć w tysiąc par kankana w przebogatych salonach paryskich, kąpać kobiety w szampanie, wygrywać albo przegrywać na jedną kartę setki rubli: czyż to nie stanowiło ideałów jego życia, czy ich nie przewyższało?... Listy Ferdynanda były jakby tchnieniami jego własnej młodości i budziły w nim zamiast uniesienia, do którego był za stary, nowe, a dotychczas nie znane uczucie: rozrzewnienie.

¹⁸ *donżuan* – uwodziciel; określenie utworzone od imienia tytułowego bohatera dramatu Moliera *Don Juan*. [przypis edytorski]

¹⁹ *lodnik* – lodowiec. [przypis edytorski]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.